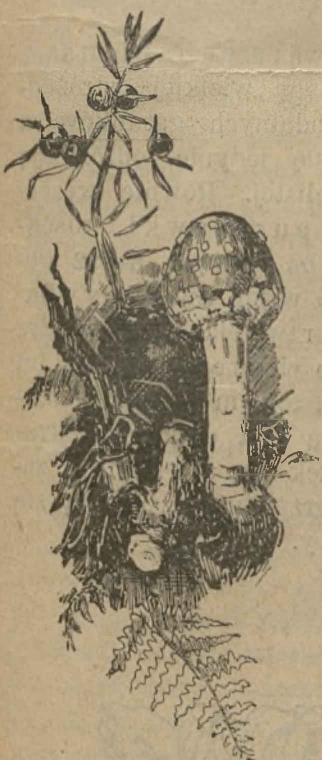
№ 34 WARSZAWA, DNIA 24 SIERPNIA 1912 ROKU ROK II




TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.



# GRZYBY.

Po letnich upałach, nastaje w naszym klimacie pora roku tak piękna, że mało ustępuje wiośnie: nasza miła *jesień*.

Dnie jeszcze są dość długie, łagodne ciepło stanowi przejście od gorącej pory do chłodów i mgieł Października i Listopada.

Las wtedy, po kwiatach i jagodach, daje nam swój dar ostatni — grzyby. Przyjrzyjmy się bliżej tym szczególnym roślinom, skrytym pod ziemią w postaci cieniuchnych, gęsto splątanych, białawych niteczek.

Roślina cała, niewidoczna dla oczu ludzkich, wydaje na powierzchnię ziemi owoce swoje, t. j. to, co my nazywamy *grzybem*. *Grzybnia*, czyli owe niteczki, nie ciągną nigdy soków, potrzebnych do swego utrzymania, wprost z ziemi, lecz zawsze oplątują jakąś resztkę butwiejącą drzewa lub innych roślin; mówiąc prościej, karmią się zgnilizną. W gruncie suchym, grzybnia owa nie owocuje, t. j. nie wypuszcza na powierzchnię ziemi swych owoców, złożonych zwykle z *trzonu* oraz osadzonego na nim *kapelusza*. Dlatego też, gdy wyrwiemy jakikolwiek grzyb całkowicie, zawsze przy nim zobaczymy białe niteczki, z których powstał. Kapelusze niektórych grzybów są pięknie

zabarwione; lecz najsmaczniejsze z nich mają zwykle wygląd skromny i niepozorny. U nas rośnie bardzo wiele gatunków grzybów: najwcześniej się pokazują smar-



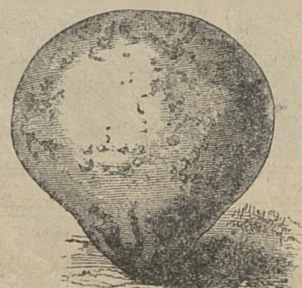
Smardz.

dze, gdyż razem z wiosenną trawą i pierwszemi kwiatkami. Mają one kształt stożkowaty, kolor blado-bronzowy, a na kapeluszu pełno dołków, w których sie-



Piestrzenica.

dzą zarodniki, t. j. zbiorniki czarniawego proszku, będącego nasieniem grzybów. Proszek ten po uschnięciu grzyba opada na ziemię, wytwarzając nowe gromady grzybni. Smardz jest na surowo szkodliwy, lecz po wygotowaniu traci tę wadę zupełnie i można go, usmażywszy wtedy w maśle, jeść bezpiecznie: natomiast woda, w której się gotował, jest trucizną. Istnieje też jeszcze inny grzyb wiosenny — piestrzenica. Trzon ma krótki, biały, rozszerzony ku górze, na nim kapelusz niekształtnie fryzowany, ciemno-brunatny, łatwo się kruszący.



Purchawka.

Grzyb ten nosi ludową nazwę babieuszy. Zbieranie ich wymaga wielkiej ostrożności, gdyż oprócz jadalnych gatunków są i trujące, które się jedynie odróżniają trzonem barwy cielistej. Równie wczesnemi grzybami są purchawki, rosnące bardzo prędko, bo w ciągu 8—12 godzin: nie mają one wcale trzonu i wyglądają jak kula szarawo-biała. Wewnątrz zawierają mnóstwo ciemnego proszku; im starsza purchawka, tem ma skórkę suchszą i cieńszą, którą lada dotknięcie kruszy. Wtedy proszek ów, a właściwie zarodniki nowych grzybów rozsiewają się na wszystkie strony.

*D. c. n.*

## Gustaw le Rouge.

# NIEWIDZIALNI.

Ciąg dalszy.

Byłem przez nie uwięzionym, to prawda, lecz nie zrobiono mi nic złego. Prawdopodobnie byłem tylko dla nich jakiemś nieznanem stworzeniem, które zatrzymano dla robienia nad niem spostrzeżeń!

Dodawszy sobie odwagi temi rozmyślaniami, wsunąłem się w ciemny korytarz o spadku dość pochyłym, zastępującym schody. Trudność orjentowania się w ciemnościach byłaby mię może skłoniła do zaniechania tego zamiaru, gdybym nie uczuł pod nogami, osadzonych w gruncie, małych wypukłych guzików, wielkości orzecha włoskiego.

W tejże chwili, wskutek nieznanego mi urządzenia, sklepienie galerji zajaśniało światłem łagodnem, lecz dość żywem, abym mógł rozpoznać, gdzie się znajduję.

Przez chwilę stałem bez ruchu, zdumiony, prawie pewien tego, że się znajduję w jakiemś królestwie czarów, gdzie za sprawą dobroczynnej wieszczki zostałem obdarowany światłem, gdy mi było nieodzownie potrzebnem.

Ściany były z takiego samego gatunku szkła jak i cała wieża, lecz sufit przedstawiał fantastyczne zwierzęta i kwiaty, z których właśnie wychodziło owo światło, które mógłbym przyrównać chyba do t. zw. «much ognistych» Ameryki środkowej.

W miarę, jak się posuwałem naprzód, blask na suficie po za mną gasł, a zapalał się przedemną, tak, że byłem wciąż otoczony świetlistą aureolą.

To ciężar mego ciała, naciskając guziki umieszczone w gruncie galerji, wywoływał ten blask, oświetlający miejsce, gdzie się znajdowałem.

Nie mógłbym określić natury tego blasku; mógł on pochodzić z jakich gazów fosforyzujących lub z jakiegoś specjalnego promieniowania, właściwego tej planecie. Wskutek pochyłości gruntu, zstępowałem ciągle na dół, i parę razy znalazłem się na przecięciu kilku galerji. Strzegłem się jednak zboczyć w którą z nich, gdyż nie chcąc zbłądzić w tym labiryncie, potrzeba się było trzymać linji prostej.

Nagle wszedłem do wysokiej sali, gdzie się ciągnęły do nieskończoności szeregi sztywnych, hieratycznych posągów. Jedne z nich były z czerwonego porfiru, inne z kruszcu czarniejszego nieco od bronzu i nakrapianego złotem. Wyobrażały one ptaki o twarzach ludzkich, skrzydlate krokodyle, smoki najeżone kolcami, oraz najrozmaitsze zwierzęta kształtów tak dziwacznych, że zapytywałem sam siebie, czy podobne dziwotwory mogły istnieć gdziekolwiek, oprócz wyobraźni artysty?

Były też między niemi wizerunki Er-

loorów i Romboo, oddane z drobiazgową wiernością.

Wszystkie te olbrzymich rozmiarów posągi, których dalsze szeregi ginęły w ciemnościach, miały w sobie jakąś przerażającą i straszliwą przeszłość, która mię onieśmielała.

Patrzały wprost na moją drobną postać swemi nieruchomemi oczami z drogich kamieni, zdając się mówić:

— Nie przenikniesz nigdy tajemnicy, której jesteśmy odwiecznymi strażnikami — ona przy nas pozostanie!

Szedłem jeszcze naprzód, lecz już z niejakiem wahaniem. Zdawało mi się, że po za kręgiem jasności, który mię otaczał, te potwory z kamienia i kruszcu zbliżały się do siebie, aby mi zamknąć drogę do wyjścia. Gdy kaszlnąłem, echo powtórzyło kilkakrotnie ten odgłos w przyległych, pustych salach i miałem wrażenie, że potwór, którego śmiech urągliwy i szyderczy słyszałem niedawno, lada chwila wychyli się z poza którego posągu i rzuci się na mnie.

Lecz ta olbrzymia sala musiała przez całe wieki stać pustką, gdyż kurz leżał wszędzie grubym pokładem.

Z podziwem dla tych wszystkich cudów łączyło się we mnie uczucie przygnębienia; czułem jakby spoczywający na mnie ciężar wielowiekowej cywilizacji marsyjskiej, której nigdy nie poznam.

Już zaczynałem żałować, że się zapuściłem tak daleko, a jednak jakaś tajemnicza siła popychała mię naprzód. Bezwiednie przyśpieszałem wciąż kroku: wprzód szedłem, teraz biegłem jak szalony, a otoczony blaskiem, który wydobywały ze sklepienia moje kroki, musiałem wyglądać jak płomienny meteor, krążący w ciemnościach.

Szał jakiś mię ogarniał: po dwóch salach, o których mówiłem, następowały wciąż dalsze i dalsze: było to całe miasto, wydrążone we wnętrznościach ziemi, obszarem równające się niektórym olbrzymim zwaliskom Indji lub starożytnego Egiptu. Wieki niewątpliwie składały się na budowę tych sal nieskończonych.

Zatrzymałem się nareszcie, zwątpiwszy czy kiedykolwiek dosięgnę ostatniej z nich. Znużony i zgłodniały, nie miałem ochoty iść dalej, jak również powracać do miejsca, zkąd przyszedłem.

Ujrzałem jednak jeszcze nowe zejście w dół; postanowiłem zwiedzić tylko to ostatnie piętro, i zeszedłem natychmiast.

Te sale, najniżej położone ze wszystkich, nie zawierały posągów, a miały raczej wygląd składów: w pierwszej znalazłem mnóstwo wielkich naczyń, szklanych, kwadratowych, zamkniętych hermetycznie i ustawionych jedna na drugich. Następna była zapełniona pakami, owiniętemi w coś, co mi się wydało wygarbowaną skórą rybią, i owiązanemi sznurem.

Na widok owych naczyń czy pudeł szklanych, wydałem okrzyk radości, gdyż teraz miałem pewność, iż znajduję się w składach żywności nieznanego narodu, obficie zaopatrzonego i to wróciło mi siły i odwagę.

Zdjąłem więc nie bez wysiłku jedno z naczyń, będących na wierzchu, a nie mogąc zdjąć pokrywy, która była szczelnie przypasowaną i zalaną rodzajem smoły ziemnej, rzuciłem je na ziemię. Z rozbitego naczynia wysypała się wielka ilość ziarn podłużnych, zbliżonych do kukurydzy.

Spróbowałem ich i uczułem, że są mączyste i nieco słodkawe, o przyjemnym smaku. Nasyciłem się porządnie tą opatrznościową manną; teraz już mogłem być pewnym, iż nie umrę z głodu!

Ilość ziarna, będąca w tej sali, mogła mi starczyć na rok cały, a przypuszczałem, iż istnieją jeszcze inne sale, podobnie zaopatrzone.

Posiliwszy się wybornie, zacząłem dalsze poszukiwania, otwierając paki owiązane sznurami. Zawierały one ryby suszone, które jednak leżąc przez niezliczone lata, stwardnia-

ły tak, że trzeba by je było rąbać siekierą. Podążyłem następnie do sali sąsiedniej.

Tam znalazłem stosy pni drzewnych, cylindrycznego kształtu. Zrazu myślałem, że to są zapasy opału, jakaś olbrzymia drwalnia. Przyglądając się bacznie owym cylindrom, stwierdziłem, że to był rodzaj trzciny, podobnej do bambusu, lecz o wiele grubszej. Poprzecinana na kawałki przy t. zw. kolankach, tworzyła właśnie owe wydrążone beczułki w kształcie cylindrów.

Wziąłem jedną z nich i namęczywszy się porządnie, zdołałem wkońcu oderwać paznokciami zatykający ją wosk ziemny, a następnie wylałem kilka kropel zawartego w niej płynu na dłoń lewej ręki.

Powąchawszy go ostrożnie, uczułem miły zapach dojrzałych owoców: była to zmieszana woń ananasu, cytryny, maliny i gojawy.

Nie można było przypuszczać, aby płyn mający taki zapach, był szkodliwym; powtóre, po cóżby robiono tak wielkie zapasy trucizny?

Ten argument zdecydował mię ostatecznie. Skosztowałem tego płynu: smak jego przypominał wina hiszpańskie lub włoskie, nalewane na jagody pachnące i listki kwiatów; czuć jednak w nim było coś ostrego, w rodzaju eteru. Zapach ten ostrzegał mię o niebezpieczeństwie w razie nadużycia napoju.

Połknąłem więc tylko kilka łyków i doznałem natychmiast znacznego wzmocnienia sił; zmęczenie znikło wraz ze zniechęceniem i zacząłem na wszystko patrzeć pod innym kątem widzenia.

Żaden napój ziemski nie mógłby wywrzeć tak błogiego wpływu, tembardziej, że nie podniecał on zbytecznie, jak alkohol. Nie czułem ani palenia na twarzy, ani zaćmienia myśli, jak po użyciu win mocnych.

Byłem najzupełniej spokojnym i w myślach było mi jasno do tego stopnia, że robiłem przegląd wypadków dni ostatnich ażeby je lepiej zapamiętać.

Jednak atmosfera tego podziemia zaczynała mi ciężyć: powietrze tam było ciężkie wskutek małej ilości tlenu.

Chciałem powrócić do magazynu żywnościowego, wróciłem więc na górę do sali z posągami, a potem do galerji podmorskiej.

Ze zdumieniem ujrzałem, że jest ona już pogrążona w ciemnościach, gdyż tu nie było urządzenia, któreby wywoływało blask za każdym moim krokiem.

(D. c. n.) (Tłom. z fran. *K. W.*).

# STAWY.

Na zarosłe trzciną stawy
Spada opar błękitnawy...

Mgła powiewna srebrniejąca
W lekkie zwoje się roztrąca...

Księżycowy sierp się żarzy...
Patrzy księżyc, patrzy — marzy...

Hen, zadrgała gwiazda blada
I w toń stawów lekko spada...

Drżą, szeleszczą trzciny zcicha,
Wiatr przez sen w sitowiu wzdycha...

Cisza skrzydłem wodę zmąca,
Złoty sierp rój skier roztrąca...

Czar się błąka, czar złotawy
Poprzez cudne śniące stawy...

*M. Ch*

# Wyścigi ze związanemi nogami.

Dobrawszy odpowiednie wzrostem i siłą pary chłopców, ustawia się każdą parę oddzielnie i wiąże się im nogi tak, aby po stronie zewnętrznej każdy miał wolną nogę.

Na dane hasło wszyscy razem zaczynają iść; jeśli podczas wyścigu chustka się rozwiąże, para, którą to spotkało, musi się zatrzymać, a jeden z sędziów lub ich po-



Można do wiązania używać złożonych ukośnie chustek, lub bandaży płóciennych, wiążąc nogi w sposób widoczny na rysunku, raz pod kolanami, drugi raz w kostce.

Każda para powinna zachować wielką zgodność w ruchach, gdyż inaczej będzie co chwila padać na ziemię; to też przestrzeń oznaczona do przebycia nie powinna być zbyt wielką, gdyż jest to wyścig dość męczący.

mocników związuje ją na nowo i para rusza w dalszą drogę.

Podobnym do niego jest wyścig w workach, zeszytych tylko ze strony podłużnej: worki takie zawiązują się w pasie, albo u szyi, co znacznie utrzymanie równowagi utrudnia, gdyż worki powinny być możliwie wązkie.

# Jeden dzień z życia amerykańskiego dziennikarza w r. 2889.

. Ciąg dalszy.

Usłyszawszy swe imię, wymówione jej miłym głosem, wielki dziennikarz uczuł się szczęśliwszym; nie budząc więc żony ani słowem, wyskoczył szybko z łóżka i udał się do swej mechanicznej ubieralni.

Po dwu minutach wchodził do sali jadalnej, już umyty, uczesany, ubrany najdokładniej bez pomocy rąk ludzkich, a po krótkim posiłku zjawił się na progu swych biur i rozpoczął codzienną po nich wędrówkę. Pierwszą była sala romansopisarzy-feljetonistów, bardzo obszerna, pokryta szklaną, wysoką kopułą.

Po jednej stronie stały różne aparaty telefoniczne, przy których stu literatów „Zwiastuna” opowiadało rozgorączkowanej publiczności sto rozdziałów stu romansów i powieści. Po chwili jeden z mówiących korzystał z pięciominutowego odpoczynku, a dyrektor rzekł do niego:

— Bardzo dobrze, kochany Archibaldzie! Jestem zupełnie zadowolony z pańskiego ostatniego rozdziału... Scena, w której młoda wieśniaczka rozmawia ze swym konkurentem o zagadnieniach filozofji transcendentalnej, udała ci się wyśmienicie. Jesteś świetnym znawcą wiejskich obyczajów! Praca twoja przyciąga sporo nowych abonentów: od wczoraj przybyło ich dziesięć tysięcy!

I podszedł do drugiego.

— Za to z pana jestem mniej zadowolony, panie Last! Pańska powieść nie odtwarza życia, pędzi zbyt szybko do końca! Trzeba dyssekować życie, tak, mój panie! W naszych czasach nie pisze się piórem, lecz lancetem; każde wydarzenie w życiu rzeczywistem nie jest skutkiem myśli oderwanych, lecz następujących po sobie kolejno, które trzeba wszystkie wyliczyć, zgrupować, aby stworzyć postać rzeczywistą.. Cóż łatwiejszego, jak posłużyć się hypnotyzmem elektrycznym, który rozdwaja naszą istotę na dwie, mogące się nawzajem obserwować, istoty! Zrób tak, kochany Johnie Last! Naśladuj pan swego kolegę, którego przed chwilą chwaliłem... każ się zahypnotyzować! Hę?... Powiadasz pan, żeś już tego próbował? Widocznie zamało jeszcze... tak, zamało!

Po udzieleniu tych wskazówek Francis Benett, prowadząc w dalszym ciągu swój przegląd, wchodzi do sali reporterów. Pięciuset ludzi, siedząc przy tyluż telefonach, opowiada prenumeratorom otrzymane w nocy nowiny z czterech stron świata.

Urządzenie tego wydziału było często opisywane. Każdy z reporterów oprócz telefonu ma przed sobą cały szereg komutatorów, za pomocą których może się w każdej chwili połączyć z potrzebną mu linją telefotyczną. Tym sposobem abonenci każdy z artykułów dostają już ilustrowanym.

Francis Benett zwraca się do jednego z dziesięciu reporterów astronomicznych (liczba ich wzrośnie z pewnością wskutek ostatnich odkryć, poczynionych w świecie planetarnym).

— No, jakież wieści, Cash? Co otrzymaliście?

— Fototelegramy z Marsa, Wenery i Merkurego.

— Cóż się dzieje na Marsie?

— Rewolucja w Państwie Centralnem, na korzyść liberalnych reakcjonistów przeciwko republikanom zachowawczym.

— To samo, co u nas! A na Jowiszu?

— Nic nie wiadomo! Nie możemy zrozumieć ich sygnałów... A może nasze do nich nie dochodzą!

— To już wasza sprawa i będziecie za nią odpowiedzialni!—rzekł krótko Benett— i mocno niezadowolony, wszedł do wydziału uczonych: było ich tam trzydziestu. Pochyleni nad maszynami do rachunków, zatapiali się w równaniach dziewięćdziesiątego piątego stopnia, formułach nieskończoności algebraicznej i ustalonych dwudziestu czterech wymiarach. Benett wpadł między nich, jak bomba.

— Co słyszę, panowie! Żadnych wieści z Jowisza? I tak wciąż w kółko jedno i to samo? Panie Corley! Grzebiesz się pan przecież od dwudziestu lat z tą planetą; więc zdaje mi się, że...

— Cóż robić!—rzekł obojętnie uczony— nasza optyka pozostawia wiele do życzenia! I nawet nasze trzykilometrowe teleskopy nie mogą...

— Czy słyszysz, Peer? — zawołał szyderczo Benett, zwracając się do następnego—optyka pozostawia wiele do życzenia... to paradne! Więc wróć pan do starożytnych okularów!

I zwracając się znów do Corley'a, dodał:

— Więc, jeśli nie z Jowisza, to może wiemy coś o księżycu?

— Jeszcze mniej, panie Benett!

— A więc tym razem, moi panowie, to już nie jest winą optyki! Księżyc jest o sześć razy bliżej Ziemi, aniżeli Mars, z którym przecież nawiązaliśmy regularną korespondencję. Przecież nie braknie panom teleskopów...

— Nie, tylko mieszkańców! — odrzekł Corley z ironicznym, zagadkowym uśmiechem.

— Ośmielasz się pan utrzymywać, iż jest on niezamieszkanym? — spytał Benett.

— Przynajmniej w części do nas zwróconej; co do innych, nie wiem nic pewnego...

— A więc istnieje bardzo prosty sposób...

— Jakiż to?

— Odwrócić księżyc!

To rzekłszy, sam się odwrócił i odszedł; a od tego dnia i godziny, uczeni zaczęli suszyć sobie mózgi nad wykonaniem tego polecenia.

Następna sala przyniosła wielkiemu dziennikarzowi wielkie zadowolenie.

Jeden z astronomów Earth Heralda ustalił dokładnie skład chemiczny nowej planety i wykreślił orbitę jej biegu. Wynosiła ona 12 tryljonów, 842 biljony, 348 miljonów, 284 tysiące, 623 metry i 7 decymetrów, a planeta przebiegała ją w 572 lata, 194 dni, 12 godzin, 43 minuty, 9 i $^{8}/_{10}$ sekundy. Benett był zachwycony ścisłością tego wyliczenia.

— Wybornie!—zawołał—trzeba natychmiast zawiadomić o tem wydział reporterów! Publiczność przepada za odkryciami astronomicznemi. Włączyć tę wiadomość do dzisiejszego numeru wieczornego!

Teraz skierował się do grupy wywiadowców i spytał jednego z nich:

— Widziałeś się pan z prezydentem Wilcox'em?

— Tak i daję w dziale informacji wiadomość dokładną, iż cierpi on na znaczne rozszerzenie żołądka, które leczy kąpielami wewnętrznemi.

— Doskonale! A sprawa mordercy

Chapman'a? Czy mówiłeś pan z sędziami?

— Tak jest; wszyscy jednomyślnie uznali go winnym, tak, iż sprawa nie będzie nawet sądzoną. Podsądny ulegnie wprzód egzekucji, niż wyrokowi.

— Wyśmienicie... To mi się podoba!

Przyległa sala rodzaj galerji długiej na pół kilometra, była przeznaczona dla publiczności i można sobie wyobrazić, jaki tam ruch musiał panować!

Ta to publiczność dawała olbrzymiemu dziennikowi około trzech miljonów dolar. dziennie. Wielką jej część informuje się za pomocą wspaniałego systemu, na który zakupiono patent od jego wynalazcy za sumę... trzech dolarów. (Był to zresztą człowiek niepraktyczny, gdyż pomimo tej tranzakcji, umarł z głodu).

Mówimy tu o afiszach olbrzymich, odbijających się na chmurach za pomocą olbrzymich reflektorów. Wielkość tych afiszów z ogłoszeniami jest tak wielką, że w całym kraju z każdego punktu można je widzieć dokładnie.

W galerji tej właśnie ustawione 1000 reflektorów bywało zwykle w ruchu, wysyłając ku chmurom swe olśniewające światła, przetwarzające się tam w jaskrawe barwy.

Lecz dziś zdumiony wzrok Francisa Benetta przechodzi z nieczynnych olbrzymów na mechaników, stojących lub siedzących z założonemi rękami...

— Co to jest? Dlaczego reflektory nie są w ruchu?

Za całą odpowiedź wskazują mu na niebo czyste, lazurowe, bez żadnej chmurki.

— Ach, tak... Pogoda, niestety! — szepcze dyrektor — afisze na chmurach przepadły... Co począć? Gdyby chodziło o deszcz, możnaby go zrobić, lecz nam chmur, chmur potrzeba!

— Tak, pięknych, białych chmurek! — potwierdził główny mechanik.

— Panie Samuelu Mark! Zwróć się pan do sekcji meteorologicznej w wydziale uczonych. Powiedz im pan, iż życzę sobie, aby się zajęli natychmiast kwestją sztucznych obłoków. Przecież nie możemy zostawać na łasce pogody, jak niegdyś rolnicy w zamierzchłej przeszłości!

* * *

Zwiedziwszy poszczególne wydziały swego dziennika, p. Benett wszedł do sali przyjęć, gdzie nań oczekiwali ambasadorowie i pełnomocni ministrowie różnych krajów, przebywający przy rządzie amerykańskim. Ci panowie przybywali do wszechmożnego dziennikarza z prośbami o radę w różnych wątpliwościach. W chwili, gdy wchodził, usłyszał ożywioną rozmowę między ambasadorem rosyjskim i francuskim.

— Niech mi ekscelencja wybaczy — mówił ten ostatni — ale nie uznaję potrzeby żadnej zmiany w karcie Europy. Północ należy do Słowian, zgoda! Lecz południe musi należeć do narodów łacińskich. Ren jest naszą wspólną granicą i najprawidłowszą. Zresztą, rząd mój odeprze wszelkie zakusy przeciw naszym prefekturom w Rzymie, Madrycie i Wiedniu!

— Dobrze powiedziane!—rzekł Benett. — Czyż wasza ekscelencja — spytał ambasadora rosyjskiego — jeszcze nie jest zadowoloną z tak rozległego państwa, rozciągającego się od granicy Chin i oceanu Indyjskiego do Atlantyku i morza Czarnego!

D. c. n.

BOLESŁAW PRUS.

# SIEROCA DOLA.

Ciąg dalszy.

Minąwszy wązki korytarz, Jaś dostał się do piwnicy; wyszukał w niej najciemniejszy kącik, usiadł na stopniu zepsutego katafalku i oparł głowę o ścianę. W podziemiu było kilka trumien ze zmarłymi różnej płci i wieku. Najbliżej sieroty leżała jakaś kobieta, nieco dalej mała dziewczynka. Jasiowi przyszły na myśl: matka i Antosia, lecz tylko na chwilę. Wspomnienia te nużyły go teraz, nie miał sił ani chęci zajmować się niemi; natomiast czuł z rozkoszą, że siedzi i że mu jest ciepło. Niebawem zasnął.

Gdy się obudził, czuł pod palcami ręki, opartej na skraju paltota, jakiś przedmiot mały, płaski i okrągły. Ognie uderzyły mu na twarz, odgadł bowiem, że to musi być pieniądz. Istotnie, między syberyną i podszewką znalazł pięć groszy, które Bóg wie odkąd leżały tam, aby zjawić się wówczas właśnie, gdy ich potrzebował najbardziej.

Na dworze zapadał już mrok. Jaś kupił trzy podługowate bułki, zjadł je, popił wodą z wodociągu i znowu poszedł na wędrówkę.

Zrobiło mu to dobrze. Był wyspany i najedzony, dla rozrywki więc począł oglądać sklepy. W jednym widział eleganckie stroje, w innych biżuterje, owoce, zabawki... Najdłużej zatrzymał się przed pewnym handlem korzennym, w którego oknie siedział porcelanowy Chińczyk, kiwający głową i wywieszający język.

Cacko to podobało mu się i począł rozmyślać: jaki mechanizm jest we środku?... Nagle usłyszał śmiech:

— Hę! hę! hę!

Za nim stał wynędzniały robotnik, który utkwiwszy obłąkane oczy w twarz Chińczyka, śmiał się, — ale tak dziwnie, tak strasznie, że Jaś pędem uciekł od okna.

— Dlaczego tylko jemu i mnie podobała się ta zabawka? — myślał chłopiec. — Dlaczego jest tak nędzny, a śmiech jego tak okropny?... Co on dziś jadł? czy także bułki?... Gdzie będzie spał?... O Boże! a gdzie ja?...

I znowu począł się tułać. Stopniowo zamykano sklepy, ruch na ulicach słabnął, światła gasły. Niekiedy na przestrzeni kilkuset kroków słychać było szybki chód jednego tylko przechodnia, lub ziewanie stróża. Turkot dorożek dolatywał z miejscowości bardzo odległych. Wreszcie

wszystko ucichło. Na dalekiej wieży wybiła pierwsza, na całej ulicy świeciło się tylko w dwu oknach.

— Co ja tu pocznę?—szeptał sierota.— Co ja tu pocznę?..

Wzniósł oczy do nieba, które w połowie lśniło się jeszcze od gwiazd, a w połowie gęstemi pokryło się chmurami. Sąż to te same gwiazdy, które widywał niegdyś?...

Wielkie i ruchliwe miasto budzi właściwy sobie rodzaj przestrachu w czasie nocy. Jaś uległ tej trwodze tak dalece, że nie śmiał się ruszyć z miejsca; własne kroki przerażały go. Oparł się o słup gazowej latarni i załamawszy drobne rączyny, wyjąkał:

— Jestem sam!...

Przesadzał: w tej chwili bowiem doleciał go jakiś szelest. Szelest ten stopniowo zbliżał się, a niekiedy ustawał... Jaś wytężył wzrok i dostrzegł — psa, biegnącego środkiem drogi.

Za owym psem, który szukał żeru wśród nocnej pomroki, Jaś przeszedł jeszcze parę ulic. Ściemniło się zupełnie, a chłopca ogarnęła senność. Fizyczne i moralne jego cierpienia dosięgły szczytu; najstraszliwszem z nich było uczucie zupełnej samotności. Wiedział, że nietylko był sam, ale że nadto niema już chyba na świecie tak nędznej, jak on, istoty.

Lecz omylił się i tym razem. O kilkanaście kroków dalej, przy migotliwem świetle latarni, dostrzegł cień przytulony do muru. Podszedł tam ostrożnie i na schodkach sklepu zobaczył siedzącą kobietę.

— Kto tu?...—zapytał.

— To ja, z dzieckiem!...—odparła przestraszona.—Ja nic złego nie zrobię...

— Nocujecie tu?..

— Tak... odpoczywamy. Do domu daleko.

Jaś usiadł przy niej.

— Panicz z tej kamienicy? — zapytała teraz kobieta.

— Nie! — odparł zakłopotany, cichym głosem.

— Może panicz się spóźnił na kolej?...

Chłopiec nie odpowiedział nic.

— Jakoś ciepło na dworze — rzekła znowu, a potem oparła głowę o ścianę i zamknęła oczy.

Dziecko spało ciągle. Jaś dotknął jego nagiej rączki i wstrząsnął się. Była ona tak pomarszczona i chłodna, jak to pisklę, które niegdyś z jego winy straciło życie.

Teraz przyszło mu na myśl, że go Bóg skarał za śmierć ptaszka. Przypomniał sobie piękne, okrągłe gniazdeczko i mimowoli porównał je z gniazdem łachmanów, na których spoczywało pisklę rodu ludzkiego.

. . . . . . . . . . . . . . . .

Wkrótce, wśród miasta, na schodach, okrytych zmarzłem błotem, miłosierny sen, lekarz cierpiących, ukołysał trzy istoty, pozbawione dachu nad głową.

I On także nie ma nad głową dachu, Ten, który wypełnia sobą nieskończoność...

. . . . . . . . . . . . . . .

Rzecz dzieje się na drugi dzień w południe.

Bliżej Wisły, wśród zbiorowiska drewnianych domów, na wielkiem podwórzu, widzimy dwie osoby: pewną panią Weronikę i niejakiego Antka.

Panią Weronikę, według jej własnych zapewnień, Bóg stworzył na wielką damę, lecz piorun losu, z wyżyny salonów strącił ją na skromne stanowisko śmieciarki. Zgodnie z tem ostatniem powołaniem, 50-letnia Weronika dźwigała na plecach wór z konopnego płótna, a w ręku piastowała drewniany ożóg, zakończony wygiętem żelazem, w formie haczyka lub siódemki. Dodajmy do tego wysoki wzrost

przy pochylonej postaci, oblicze, noszące ślady walk z przeciwnościami, kilka kosmyków siwiejących włosów i garderobę, z której ząb czasu porobił szmaty, – a mieć będziemy dokładny wizerunek damy, wołającej obecnie na podwórzu sopranem, który przypomina operę włoską:

— Koscji!... koscji kupuję!...

Antek, stojący o kilkanaście kroków od niej jest młodym mężczyzną, mogącym mieć od szesnastu do dwudziestu lat wieku. Posiada on ex-wojskowy mundur, któremu można zarzucić zbytek dziur w miejscach niepoplamionych, tudzież brak guzików, kołnierza i jednej poły. Głowę wdzięcznie przystraja mu fantastyczny garybaldyjski kapelusz, lewą nogę kamasz, prawą but z cholewą. Antek prócz tego jest bardzo mały, chudy i żółty na twarzy, posiada niewiele włosów, nos jak wiśnię i opinję — skończonego łajdaka. Był niegdyś na dobrej drodze i roznosił pisma po domach; od czasu jednak, jak na własny rachunek sprzedał kilka egzemplarzy, a kilkadziesiąt rzucił w rynsztok, literatura straciła w nim pracownika.

Od kilku godzin przyjemny Antek nudził się; naprzód bowiem coś go ckliło we wnętrzu, a powtóre pozbawiony był towarzystwa. Ponieważ duża śmieciarka miała w sobie coś pociągającego, zbliżył się do niej i płaczliwym głosem począł mówić:

— Moja pani!... moja złota pani...

Lamentując tak, trzymał ręce w dziurach, pełniących funkcję kieszeni i czochał się plecami o biodro wielkiej damy.

— Czego ty chcesz, śmieciugo?—zapytała dobrotliwie dama. — A gadaj w lewe ucho, bo na prawe nie dosłyszę!

Gdy się schyliła, Antek począł wrzeszczeć na całe gardło:

— Niech mi też pani da tabaki! moja pani, w złoto okuta!

— A tobie na co tabaki?...

— Bo widzi pani, jak przechodzę koło siódemki, to mnie zaraz kręci w nosie, a nie mogę kichnąć!—wrzeszczał chłopiec, i znowu otarł się o nią plecami, jeszcze poufalej niż poprzednio.

Na taką impertynencję pani Weronika zakipiała z gniewu i podniosła do góry haczyk, wołając:

— Bodaj cię przejechali! bodajeś zmarniał, ty zdrajco!... kapeluszniku!

— Ihii! — krzyknął przeraźliwie łobuz, usuwając się na bok i nie wyjmując rąk z kieszeni.

— Siódemka ci w nosie kręci? - mówiła oburzona pani. — A czy ty wiesz, że gdybyś cały leżał w śmietniku, tobym cię jeszcze nie podniosła, łachmanie jakiś!...

— Jaka aksamitna!... — odparł chłopiec, pogardliwie plując przez zęby.

Zobaczywszy to, dama krzyknęła w najwyższym gniewie:

— O Boże miłosierny! a czy już sprawiedliwości niema na tym świecie, żeby taki ochłap uczciwych ludzi zaczepiał na ulicy i jeszcze pluł przez zęby!.. Poczekaj, zobaczę ja cię na Starem Mieście, jak cię będą piętnowali, jeżeli cię za młodu psy nie zjedzą!...

Tak odgrażając się, obrażona dama poszła ku śmietnikowi. Antek zaś, zobaczywszy dużą bryłę piaskowca, usiadł na niej i począł ostrzyć nóż, z wyrazem takiej obojętności i znudzenia, jakiej pozazdrościćby mogli najwięksi panowie.

W tej chwili wszedł na dziedziniec Jaś. Rozejrzał się bojaźliwie dokoła, a spostrzegłszy śmieciarkę, zbliżył się do niej i cichym głosem przemówił parę wyrazów.

— A nie pójdziesz mi tu!...—wrzasnęła nieuspokojona jeszcze dama, rzucając się na sierotę.—Dam ja ci tabaki, aż zgubisz łeb, że ci go nie odszuka sama „Gazeta Policyjna!”...

Przestraszony Jaś począł uciekać, co widząc, Antek zawołał:

— Hej tam!... łobuz!... A chodź ino tu!

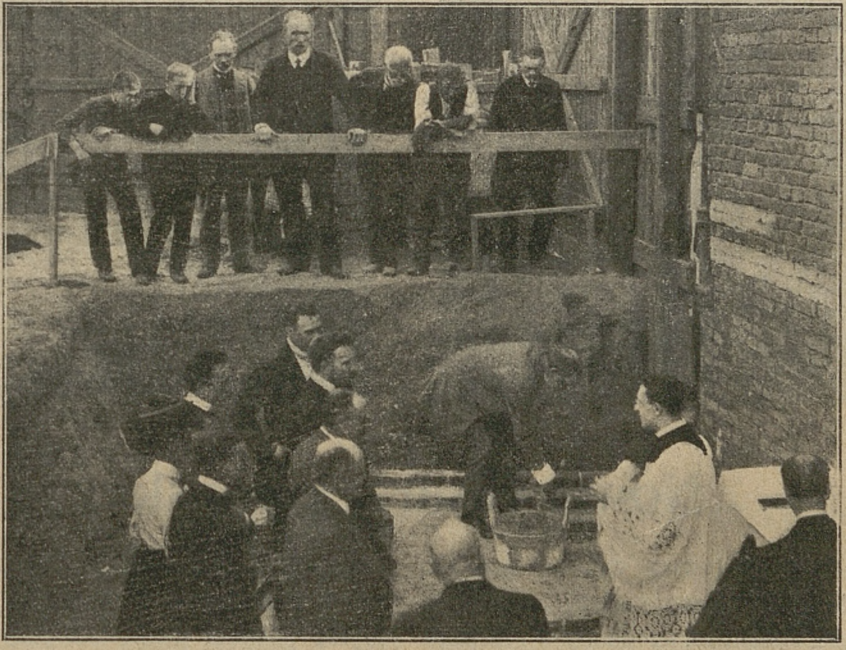
Jaś niepewnym krokiem zbliżył się do ulicznika i stanął opodal.

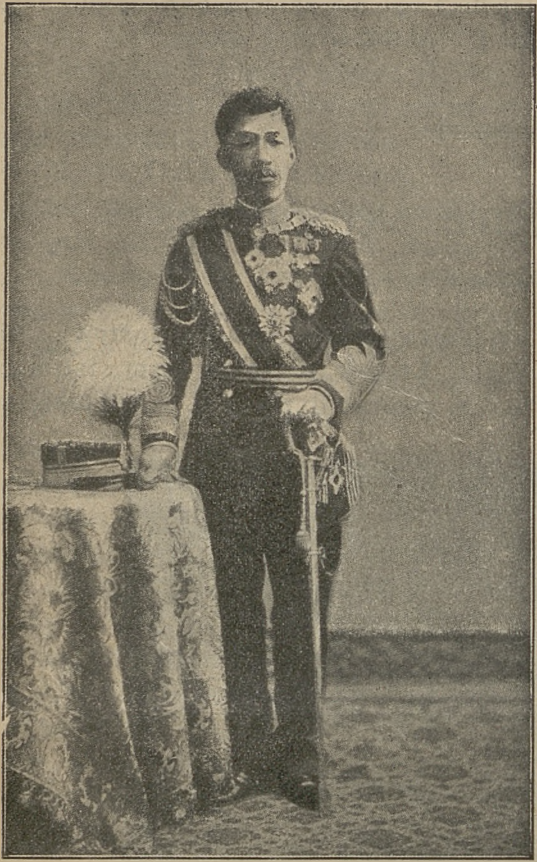
— Czego ty chcesz od tej sałaciarki, co jej mąż był maszynistą u Bergera? – spytał go Antek.

*D. c. n.*

# Poświęcenie kamienia węgielnego.

Wkrótce Warszawa uzyska instytucję publiczną, której brak oddawna dotkliwie uczuwać się dawał. Dzięki ofiarności małżonki ś. p. Stanisława Kierbedzia, twórcy mostu na Nowym Zjeździe, została zaczęta budowa bibljoteki publicznej i czytelni imienia Kierbedziów, na placu przy ul. Koszykowej pod Nr. 26, ofiarowanym na ten cel przez p. Eugenję Kierbedziową. W d. 5 sierpnia położono i poświęcono kamień węgielny pod budowę tego gmachu, w którym znajdą pomieszczenie: bibljoteka (około 300.000 tomów), sortownia książek, czytelnia pism, introligatornia, gabinet dyrektora, mieszkanie sekretarza, czytelnia główna, sala katalogów, skład sztychów, atlasów, rękopisów i t. p. Oddzielny salonik jest zarezerwowany dla osób pracujących naukowo. Gmach ten 7-mio piętrowy, zbudowany według ostatnich wymagań techniki budowlanej i hygieny, posiadać będzie frontu 70 łokci, a w podwórzu będzie urządzony ogródek.







# Nowy cesarz japoński.

Po zmarłym niedawno władcy Japonji, cesarzu Mutsuhito, odziedziczył tron syn jego, książę Joszihito, urodzony w sierpniu 1889 roku — ma zatem lat 33. Gdy doszedł lat 10-ciu, został uznanym i ogłoszonym urzędownie za następcę tronu; pomimo tego pędził wciąż życie skromne i ciche, poświęcone naukom i sztukom pięknym. Wykształcenie odebrał w instytucie szlacheckim, w Tokio, gdzie się kształcą synowie arystokracji i bogaczów japońskich; z nimi to żył koronowany ich kolega w przyjaznych i serdecznych stosunkach. Oprócz tego książę dopełniał swe wykształcenie studjami domowemi, to też posiada doskonale języki: francuski i angielski. Teraźniejsi poddani mieli tylko jedną sposobność poznania swego przyszłego monarchy, mianowicie, podczas jego podróży po Korei, gdy nad nią zwierzchnią władzę objęła Japonja. Ukończywszy lat 21 pojął za małżonkę księżniczkę Sadako, obecnie zaś, jest ojcem trzech synów, z których najstarszy, teraźniejszy następca tronu japońskiego, mający lat jedenaście, nosi imię Hirohito.

## KRONICZKA.

### Katastrofa w kopalni.

W okręgu górniczym Gehrte, pod Bochumem, w Westfalji. wynikła w kopalni węgla straszna katastrofa. Wskutek wybuchu gazów, pożar ogarnął szyb, w którym pracowało kilkuset ludzi. W kopalni tej pracowali przeważnie Polacy, zarabiając ciężką pracą górniczą na wyżywienie swoich rodzin a z pracy ich ciągnął zyski przemysł niemiecki. Biedacy ci, z powodu niedostatecznej znajomości języka niemieckiego, narażali się nieraz na kary, ponieważ zarząd kopalń żadnego swego rozporządzenia nie pozwalał tłomaczyć na język polski. Przed kilku dniami odbył się pogrzeb tych nieszczęśliwych w liczbie 109, których pochowano we wspólnym grobie. W zamian za życie, które im wydarła niebezpieczna praca, zarząd kopalni ma ustawić na grobie tym pomnik.

Smutna nagroda!

△ Turcję, oprócz innych klęsk, jak wojna, zamieszki wewnętrzne i t. d., nawiedziła jeszcze jedna klęska żywiołowa, trzęsienie ziemi. Dotknęła ona prawie całą Turcję europejską, burząc domy, niszcząc wsie całe. Zginęło przytem z górą 1,200 osób, 2,000 odniosło rany, a 15,000 pozostało bez dachu nad głową.

△ Umarł w 70 roku życia znakomity muzyk francuzki, Massenet, autor wielu oper.

## Drobiazgi.

**Ocena**. Poeta-błazen Hamedi Keurani odgrywał naiwną rolę na dworze Tamerlana. Zapytany przezeń:

— Na ile mnie szacujesz?—odparł:

— Trzydzieści lirów.

— Ależ głupcze, wiesz przecież, że ta chustka, którą się właśnie obcieram, tyle kosztuje.

— To też ja z chustką razem oceniam,— odparł Hamedi.

# „O własnych siłach".

## *Łamigłówka geograficzna*

ułożona przez «Krakowiaka».

—o—

Z następujących sylab ułożyć 8 wyrazów, których początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzą nazwę wyspy w Europie.

Sylaby: in, sa, li, gród, sej, chań, pul, ra, ha. bja, no, a, wer, ra, nja, je, a, wo, stra, da, ni, dus.

Znaczenie wyrazów:

1. Rzeka w Indjach.
2. Pustynia w Afryce.
3. Miasto w Anglji.
4. Półwysep w Azji.
5. Miasto w Rosji.
6. Kraj europejski.
7. Rzeka w Azji.
8. Miasto nad Wołgą.

## WIOSNA.

O srebrnoskrzydła, na promieniu drżąca,
Jak motyl cichy nad kielichem kwiatu,
Czyżeś promieniem tu dla tego światu
Słońca, czyś tajną pozłotą miesiąca,

Czyś harfy srebrną struną na błękicie,
Czyli jeziora kołysaną falą,
Czyś złudną mgławic tajemniczą dolą,
Czyli gasnącą gwiazdą na rozświcie?

Ja nie wiem, czemeś przybyła na ziemię,
Może aniołem, co tęczowe koła
Rzuca nad ludzkie rozpłakane plemię

I błyszczy gwiazdą słoneczną u czoła.
A jeśliś prawdą przybyła na ziemię,
Weź mię pod skrzydło swe białe anioła.

*T. Nartowski.*

---

## *Logogryf sylabowy*

ułożony przez «Smutną».

Z następujących sylab ułożyć 16 nazw rzek, których początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko wodza polskiego z XVII wieku.

Sylaby: a, ar, be, ci, czar, cza, do, du, di, dan, el, hań, ho, ir, i, ko, ka, lo, lo, mien, no, naj, na, na, os, o, ro, ra, dra, ra, ryń, ra, sa, ste, sła, sa, tysz, wi, wad, zam, zi, ra.

Z rzek tych 1 płynie w Ameryce, 11 i 14 w Azji, 16 w Afryce, reszta w Europie.

---

## Zadanie arytmetyczne

ułożone przez «Parsywaia».

Trzech braci zaniosło do kasy oszczędności pewną ilość pieniędzy:

Ile każdy z nich wniósł, jeśli wiadomo, że gdyby pierwszy dał drugiemu $^1/_6$ część tego co wniósł, a trzeciemu $^1/_3$ — to wówczas każdy z nich miałby po 60 rub.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej z Nr. 30.

1. **W**ierc**H**
2. **P**odol**E**
3. **U**rba**N**
4. **S**ekato**R**
5. **T**arant**Y**
6. **Y**or**K**
7. **N**a**S**
8. **I**rrawad**I**
9. **I**ndj**E**
10. **W**ulka**N**
11. **P**łoc**K**
12. **U**lik**I**
13. **S**edipyru**E**
14. **Z**bignie**W**
15. **C**incinat**I**
16. **Z**ają**C**
17. **Y**tiloo**Z**

W pustyni i w puszczy. Henryk Sienkiewicz.

Rozwiązanie logogryfu sylabowego z Nr. 30.

1. Wahabici
2. Arak
3. Cyprys
4. Łobzów
5. Apollo
6. Wynik
7. Ney Michał
8. Arena
9. Łopian
10. Kryłów
11. Orawa
12. Wyżeł
13. Sagowiec
14. Kometa
15. Izasław

W a c ł a w N a ł k o w s k i.

---

Administracja uwzględnia reklamacje tylko w przeciągu dwóch tygodni i tylko prenumerujących pismo **wprost** w administracji (Nowy-Świat 53 i Ordynacka 8 m. 7).

**Warunki prenumeraty.**

| | **w Warszawie** | **z przesyłką** |
|---|---|---|
| Rocznie | rb. 2 kop. 50 | rb. 3 kop. 50 |
| Półrocznie | „ 1 „ 25 | 1 „ 80 |
| Kwartalnie | „ — „ 65 | — „ 90 |
| Rocznie z dodatkami w oprawie | rb. 4 kop. 30 | 5 „ 30 |

**Za odnoszenie do domu 10 kop. kwartalnie.**
**W Galicji kwartalnie kor. 2.40.**

Adres Administracji—Nowy-Świat 53.

Adres Redakcji—Ordynacka 8 m. 7.

TREŚĆ NUMERU:



Redaktor i wydawca: **Marja Bujno-Arctowa**

Druk M. Arcta w Warszawie, Ordynacka 3